Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena pojedyńczego numeru 20 gr.

PAX



PISMO MŁODYCH KATOLIKÓW

NR 10 GRUDZIEŃ 1933

ROK I — NR 10
GRUDZIEŃ
WILNO 1933



MIESIĘCZNIK
MŁODYCH
KATOLIKÓW

Treść numeru:

Warunki prenumeraty:

bez przesyłki		*z przesyłką*	
półrocznie . .	**zł. 1.—**	**półrocznie . .**	**zł. 1.10**
rocznie . . .	**zł. 1.90**	**rocznie . . .**	**zł. 2.10**

Cena pojedyńczego numeru 20 groszy

Prenumerata zagranicą: półrocznie 1 zł. 90 gr., rocznie 3 zł. 70 gr.

Ceny ogłoszeń:

Ostatnia strona okładki: Cała strona — 45 zł.; 1/2 strony — 27 zł.; 1/4 str. — 18 zł.; 1/8 str. — 9.50 zł.
Przedostatnia strona okładki: Cała strona — 37 zł.; 1/2 strony — 21 zł.; 1/4 str. — 14 zł.; 1/8 str. — 7.60 zł.

Redakcja i Administracja: Wilno, Uniwersytecka 9—9. Konto P.K.O. 144.229
Redakcja i Administracja czynna w poniedziałki, środy i piątki od godz. 19-20

Za P. A. K. S. (Porozumienie Akademickich Katolickich Stowarzyszeń) — Leokadja Małunowiczówna

ROK I — NR 10
GRUDZIEŃ
WILNO 1933



MIESIĘCZNIK
MŁODYCH
KATOLIKÓW

Fryderyk Ozanam a czasy obecne

I

Było to w latach pierwszej młodości, w ostatnim czy przedostatnim roku nauk gimnazjalnych. Z zachwytem czytałem wiersz Asnyka „Ucisz się serce".

Ucisz się serce, swoich strat
Już nie opłakuj stroskane,
Ale wschodzący pozdrów świat
I jego jutrznie różane.

Wiersz ten brzmiał tak charakterystycznym dla twórczości wielkiego liryka smutkiem rozstawania się z romantyzmem, ujmowanym jako marzenie odlatujące od rzeczywistości, gdy twarda rzeczywistość do twardej pracy wzywała; romantyzm ustępował wówczas miejsce swoje, tak w filozofji, jak w życiu, praktycznemu pozytywizmowi, a więc pozytywnemu, wolnemu od złudzeń, rachującemu się z warunkami możliwości poglądowi na życie i jego zadania. Wierzył poeta, chciał wierzyć, że pozytywizm wytworzy nowych ludzi, nowych pracowników, którzy „twardą pracą i znojem" spłacą swój „święty dług" wszystkim upośledzonym, poniewieranym, cierpiącym. Więc zapomnij, serce, o stratach swoich, o odlocie marzeń rozkosznych, a pozdrów tych

... co będą światło nieść
Do chat, gdzie ciemni i głodni,
Co będą walczyć, aby zgnieść
Widziadło nędzy i zbrodni.

Zgniecenie „widziadła i zbrodni" było hasłem rewolucji rosyjskiej. I cóż? Ci, co jej dokonali, prześcignęli zbrodniami swemi wszystkie zbrodnie świata, Rosję zaś doprowadzili do nędzy, jakiej nigdy dotychczas nie znała.



E. Zdanowski — Przy pracy

Koło połowy zeszłego stulecia przebywał w twierdzy Ham we Francji skazany na dożywotnie tam więzienie, jako niepoprawny wichrzyciel, pretendent do tronu francuskiego, Ludwik Napoleon Bonaparte. Miał dużo czasu na rozmyślania i studja; zajmowała go szczególnie kwestja socjalna, napisał tam rozprawę o walce z pauperyzmem. Minęło lat kilka, a więzień z Ham został cesarzem Napoleonem III; miał pełnię nieograniczonej władzy w ręku; mógł zabrać się do realizowania tej sprawiedliwości społecznej, której nauczał, którą zwiastował w pismach z wygnania i więzienia i, gdy rozmaici marzyciele zajmowali się utopjami z zakresu polityki socjalnej, on politykę tę wziął w ręce swoje, jako swoją powinność, jako najwyższe posłannictwo władzy, opartej na idei demokratycznej [1]). Oczywiście drogą rewolucji pójść nie mógł, myśl swoją wprowadzał w czyn stopniowo, ewolucyjnie; z jednej strony ogromnie podniósł dobrobyt Francji, co szło, rzecz jasna, na korzyść także robotnikom, z drugiej — robił wyłom w krępującem robotników ustawodawstwie, nadając im wolność cywilną, czyli prawo do zrzeszania się w obronie swoich interesów [2]). Czy celu dopiął? Nie. Nazywano go cesarzem robotników, a jednak warstw robotniczych nie zjednał i w roku 1871, po przegranej wojnie z Niemcami, w obliczu nieprzyjaciela, wybuchła rewolucja komu-

[1]) Por. M. Zdziechowski: „Problem Napoleona III", „Przegląd Współcz.", październik, 1932.
[2]) M. Zdziechowski: „Napoleon III", Kraków, 1931, por. str. 159.

nistyczna, którą z nieludzkiem okrucieństwem stłumił Thiers.

Więc ani rewolucja, ani ewolucja. Na jakiejże drodze szukać rozwiązania kwestji socjalnej? Tylko na drodze chrześcijaństwa, ale pod warunkiem uobecnienia sobie słów Chrystusowych, że ubogich zawsze mieć będziecie. To znaczy, że w życiu doczesnem nie da się przełamać to, co leży w naturze rzeczy. Wyobraźmy sobie, że ideał komunistyczny wszedł w życie bez tych wstrząśnień i okrucieństw, których pastwą stała się Rosja; po kapitalizmie prywatnym nastąpił kapitalizm państwowy; własność jest zniesiona; zamiast na swoim kawałku ziemi chłop pracuje w kołchozie jakimś, czy sowchozie, robotnik — w fabryce należącej do państwa; państwo karmi ich i przyodziewa; ulice miast nie są zawalone trupami pomarłych z głodu, o ludożerstwie nie słychać. Ale za to minimum egzystencji, któreby chłop czy robotnik miał sobie zapewnione, musiałby zapłacić czemś niezmiernie cennem—wolnością, byłby rzeczą, nie człowiekiem, automatem bez myśli i woli, pracującym pod biczem dozorcy. Czy taki powrót do niewoli pańszczyźnianej może człowiek rozumny i uczciwy uznać za rozwiązanie kwestji socjalnej?

Nie, nigdy. Pozostaje jedno: oprzeć się na chrześcijaństwie. Głębokie, bardzo głębokie są następujące słowa Ozanama: „Chrześcijaństwo ma w sobie wszystkie prawdy reformatorów społecznych, a nic z ich złudzeń, ono jedno jest zdolne urzeczywistnić ideał braterstwa, nie przynosząc mu w ofierze wolności, i szukać jak największej szczęśliwości ziemskiej dla ludzi, nie pozbawiając ich świętego daru rezygnacji, która najpewniejszym jest lekiem na ich cierpienia i ostatniem słowem życia, które tu skończyć się musi“ [1]).

Mówiąc o Ozanamie, nie wolno pominąć tego, który mu służył za wzór: św. Wincentego à Paulo; obrał go patronem, zakładając Towarzystwo Miłosierdzia, z którego powstały nasze Konferencje. „Św. Wincenty pisał — to ideał, który powinniśmy mieć przed sobą, to typ wyższy, który powinniśmy urzeczywistniać, to życie, którego dalszym ciągiem należy nam być, to wzór na ziemi a orędownik w niebie“. — „Święci — pięknie powiedział wielki a świątobliwy biskup węgierski, X. Ottokar Prohászka [2]) — to owe góry Boże, sterczące ku niebu, w wieczność — na dole równina płaska i ludzi płaskich myśli marne i nudne, a oni, jak Mojżesz, zstępują z gór swoich i poruszają ludzi do wypraw krzyżowych nie o grób święty, lecz przedewszystkiem o żywot wieczny“. Olbrzymem świętości był Wincenty à Paulo, ale ten człowiek Boży miał, mówiono o nim, temperament męża stanu i organizatora; to przeciwległy biegun św. Franciszka z Assyżu, ani śladu egzaltacji czy patosu; nie porywał, przemawiając, ani chciał porywać; tylko tłumaczył i wykładał; to, na co patrzył, czego doświadczył, przedstawiał z prostotą i prawdą, jasno i ściśle, a głosem drżącym głębokością przekonania i głos ten przenikał do głębi serc słuchaczy.

Świętość w dziedzinie inteligencji — pisze jeden z jego biografów [3]) — to skupienie myśli w jednej wielkiej idei, w dziedzinie uczucia — to namiętność; w dziedzinie woli — cierpliwość“. O jakże cierpliwym być musiał nasz Święty! Żył w epoce, którą historycy opisują jako pełną chwały, jedną z najświetniejszych w dziejach Francji, ale jak była twarda, jak twarde były serca ludzkie! Za młodu Wincenty à Paulo nauczał dzieci magnata, Emanuela de Gondi. Ten stał na czele zarządu więzień i galer; Wincenty zapragnął zwiedzić więzienia paryskie. Gondi był człowiekiem dobrym z natury, ale zdziwiła go prośba nauczyciela jego dzieci; co go mogli obchodzić jacyś tam zbrodniarze, wyrzutki ludzkości? Pozwolenie jednak dał; ś. Wincenty zeszedł

[1]) Oeuvres t. VII „Les causes de la misére“.
[2]) Por. M. Zdziechowski: „Węgry i dookoła Węgier“, Wilno, 1933, str. 55.
[3]) A. Redier, „Saint Vincent de Paul“ (Paris, Grasset). p. 339.

w ciemne podziemia; naokoło brud, smród i do ścian przykuci zbrodniarze; ciała pokryte ranami i plugastwem; na twarzach rozpacz; bluźnili, jakgdyby bluźnierstwa były ulgą w rozpaczy. — Wkrótce potem zwiedził galery w Marsylji; skazańcy pracowali w kajdanach, plecy mieli obnażone, aby dotkliwiej czuć mogli „pieszczoty“ bicza, zachęcającego do pracy. Najstraszniejsze było to, że nie wszyscy mieli ciężkie zbrodnie za sobą; roboty w porcie potrzebowały 6 000 robotników, więc masami brano także takich, którzy popełnili lekkie przewinienia i na kary względnie lekkie skazani zostali.

W ostatnich latach życia swego Wincenty à Paulo był świadkiem wojny domowej we Francji, zwanej Frondą. Była to wojna — czytam w jednym z podręczników historji — raczej zabawna niż straszna; wszystko robiono wesoło i swawolnie. A jednak wyjawiła ona obrzydliwość natury człowieka w całej ohydzie. „Nie znajdziemy w mowie ludzkiej — pisali misjonarze, wysłani przez ś. Wincentego do miejscowości najbardziej spustoszonych w Lotaryngji i Szampanji [1]) — wyrazów do określenia tego, na co patrzaliśmy. Kościoły sprofanowane i ograbione, księża albo wymordowani, albo pouciekali; domy i chaty zburzone; żniwo odebrano rolnikom; ziemia leży odłogiem; na drogach masami gniją niepogrzebane ciała — pokarm dla wilków i psów; w chatach, raczej w dziurach okropnych jęczą na podłogach, bo sprzętów żadnych już tam niema, ludzie zupełnie nadzy, albo w łachmanach; twarze ich od nędzy i głodu oszpecone do niepoznania; są tacy, co chodzą, ale to szkielety pokryte skórą, a tak straszliwe, że gdyby nie łaska Boża, nie mielibyśmy odwagi spojrzeć na nie“.

Wincenty à Paulo—pisał Michelet—był przedziwny, godzien uwielbienia, ale zrobił mało. Czy mógł jednak zrobić wiele w tych ogromach nieszczęścia i nędzy na które patrzył? Zrobił wszystko, co leżało w granicach jego olbrzymiej, nadludzkiej, świętej energji; jego apostolstwo miłosierdzia jedynym było promieniem w mrocznych przepaściach obrzydliwości i złości ludzkiej. Służąc wzorem dla wszystkich, nauczając, wzywając do miłosierdzia, on zdołał w imię tego, co jest najpiękniejsze na świecie, czyli miłości bliźniego, zapalić w duszach wybranych entuzjazm i ten entuzjazm udyscyplinować. Był — mówi Redier [2]) — niezrównanym kapelmistrzem, ale wymagającym, nie dopuszczał dysonansów, codzienne robiąc repetycje w Zgromadzeniach, które z jego inicjatywy powstawały, stworzył cudowną pieśń miłosierdzia, która do dziś dnia pociechą jest dla cierpiącej ludzkości.

Nie mówiłbym tyle o Wincentym à Paulo i jego czasach, gdyby jego epoka odeszła na zawsze w dal historji. Niestety, wszystko co powiedziałem, jest aktualne dziś jeszcze. Spójrzmy na to, co się dzieje tuż poza granicą naszą wschodnią. Z władcami nieszczęśliwej Rosji zawarliśmy pakt; gazety piszą, że jest to więcej, niż pakt, bo przyjaźń wieczysta i przymierze. Niedawno jeden z wojskowych naszych zwiedzał państwo Sowietów i opowiada, że nigdzie prześladowania religji nie dostrzegł. Podobnież wielki błazen polityczny, Herriot, objechał całą sowiecką Rosję, a nie widział głodnych. Tymczasem na płynącej niegdyś mlekiem i miodem Ukrainie widzimy dziś to samo niemal na co patrzali w Lotaryngji i Szampanji przed 280 laty księża współpracownicy Wincentego à Paulo; po miastach i wioskach, po drogach trupy zagłodzonych, któremi nietylko psy i wilki się karmią, i krążące między niemi żywe, skórą pokryte szkielety. Wstrząsającą skargą beznadziejnej rozpaczy brzmi List pasterski naszych biskupów obrządku wschodniego p. t. „o Ukrainie w mękach przedśmiertnej agonji“. Zwracają się nietylko do ludu swego, lecz do wszystkich, kto w Boga wierzy, błagając, aby modlitwami, postami,

[1]) A. Redier, op. c. str. 325—329.
[2]) op. c. str. 253.

dobremi uczynkami wymodlili pomoc z Nieba, „skoro, po ludzku sądząc, niema nadziei pomocy od ludzi“... „Niech przed straszną śmiercią wśród okrutnych cierpień głodowych będzie dla braci naszych pociechą drobną to, że wiemy o ich niedoli straszliwej, że bolejemy, cierpimy i modlimy się za nich“[1]). I czy nie bolesna tkwi w tem ironja, że w tymże tygodniku, na tejże stronie, co List pasterski, bezpośrednio po nim mamy artykuł o polsko-sowieckiej idylli, o bigurach w rodzaju Radka, których sprowadzamy stamtąd, ażeby w duszach naszych zgniliznę sowiecką zaszczepiali, o zapale, jaki u nas budzą, o wizytach i rewizytach. W zestawieniu z owem pismem biskupów „idylla“ przestaje być idyllą, a staje się orgją na grobie umęczonej Ukrainy.

U nas tak źle jeszcze nie jest, niema powszechnego wymierania ludności od głodu, ale jest źle; naprz. tu, w Wilnie: wiedzą o tem nasze konferencje św. Wincentego. Niedawno czytałem w jednej z gazet wileńskich o prowizorycznem jakiemś schronisku bezdomnych na Zwierzyńcu, gdzie ludzie żyją w warunkach urągających zarówno litości jak hygjenie. Czytałem także śliczny artykuł p. Wacławy Walickiej o psychice bezdomnych. Stale więzienia zwiedzając, autorka stwierdziła, że przestępstwo jest u wielkiej ilości więźniów zjawiskiem wtórnem, które powstało, jako skutek ich bezdomności; bezdomnymi byli przed więzieniem, bezdomnymi będą po wyjściu z więzienia. Zapamiętałem opowiadanie autorki o dziewczynie, której los szczególnie ją obchodzi; „jest bardzo młoda, miła, umie dużo ładnych robót, ma do tego zamiłowanie; trafiła do więzienia — no tak, przyznać to trzeba — za kradzież, ale kradzież z głodu; wkrótce ją zwolnią“. Co pocznie wtedy? Pójdzie na Młynową 2, do domu noclegowego, a potem? Kto ją przytuli? Więc znowu kradzież z musu i znowu więzienie.... Ci bezdomni, których, dzięki amnestji, wypuszczają z więzienia koło świąt Bożego Narodzenia, o tem tylko marzą, aby znowu w więzieniu się znaleźć; źle jest tam, ale lepiej niż na szerokim Bożym świecie.

Dla ratowania tych bezdomnych byłby potrzebny człowiek tej miary, co brat Albert, odnowiciel III Zakonu św. Franciszka w Polsce.

Tego świętego człowieka miałem szczęście znać w Krakowie. W salonach p. Pawła Popiela, wśród znakomitości, nietylko z Krakowa, lecz z całej Polski, spotykałem starca w szarym habicie z siermiężnego sukna, kalekę, bez nogi, którą utracił w powstaniu 1863 roku. Był to brat Albert Chmielowski, z zawodu niegdyś artysta-malarz, wówczas opiekun i ojciec ubogich. Jako inteligencja i charakter był, sądzę, bliższy św. Wincentego, niż św. Franciszka z Assyżu; w rozmowach i dyskusjach robił wrażenie człowieka o umyśle ściśle logicznym, bardzo trzeźwym, prawie suchym. Całą duszą oddał się bezdomnym i włóczęgom; założył schronisko, nauczał rzemiosł; przywiązany był do nich sercem artysty: „są to przeważnie — mawiał — natury artystyczne; gdyby się w pałacach urodzili, byliby z nich wytworni światowcy, mecenasi sztuki i kultury“. Raz jeden słyszałem go przemawiającego w natchnieniu świętego gniewu; było to na Kongresie Katolickim we Lwowie; gromił oschłość naszą, nasz egoizm; „są obowiązki — streszczam myśl jego — od których nikomu i pod żadnym pozorem uchylić się nie wolno; wszystkich jednako obowiązują; znacie je z katechizmu: głodnego nakarmić, nagiego przyodziać“.

II

Ziemia jest padołem płaczu, ale Ozanamowi na szczęście przypadło żyć w epoce „normalnej“ czyli takiej, w której płacz ziemi nie wybuchał zrozpaczoną wołającą do Boga o pomstę skargą, którą słyszymy tam, na Ukrainie. Wychowany religijnie, głęboko pobożny z natury, ujrzał, jak opowiada, i poznał, przybywszy do Paryża na studja, świat w rzeczywistej jego postaci, z brzydotą występków, ze zgiełkiem namiętności, z bezbożnością. Paryż porównywał z trupem, nazywał pustynią moralną, „której chłód mię mrozi, zepsucie zabija“. „Nauka i katolicyzm — pisał w liście do przyjaciela — oto jedyne moje pociechy“.

W Paryżu został przedstawiony Chateaubriandowi. Pełen uwielbienia dla mistrza, z zachwytem o nim pisał, że on pierwszy podniósł sztandar, pod którym idziemy my wszyscy, którzy odrodzenie religijne świata postawiliśmy sobie za cel[2]). Dzieło wielkiego pisarza chcąc doprowadzić do końca, postanowił napisać apologję historyczną chrześcijaństwa. W myśli swej wytrwał; jego prace naukowe stanowią jednolitą całość zaczynającą się od obrazu powstawania cywilizacji chrześcijańskiej na gruzach pogaństwa (*La civilisation au V siécle*), a zakończoną rozbiorem wspaniałego w wiekach średnich wykwitu cywilizacji tej w osobie i dziełach Dantego (*Dante et la philosophie catholique au XIII siècle*). Prace te powstawały z jego wykładów w Sorbonie—o charakterze ich świadczą słowa Ernesta Renan: „Kochaliśmy go bardzo; po każdym jego wykładzie czułem się podniesiony na duchu, mocniejszy, odważniejszy, zdolny do rzeczy wielkich“. Sarcey zaś tak pisał: „W tym człowieku jest taka potęga wewnętrznego przekonania, że bez wysiłku i pomimo wadliwej nieraz formy wykładów, on nas wszystkich wzrusza i przekonywa“[1]).

Ale w pracy naukowej Ozanam zamknąć się nie chciał, chciał działać czynnie; będąc jeszcze studentem, postanowił skupić przy sobie przyjaciół kilku, aby wraz z nimi w kołach kolegów bronić wiary i walczyć z zepsuciem. Wkrótce jednak przekonał się, że skutki ich usiłowań były małe, daleko mniejsze, niż się spodziewali: „Ażeby praca nasza — mówił Ozanam na jednem z zebrań — została ubłogosławiona przez Boga, brakuje nam jednej rzeczy: czynów miłości i miłosierdzia; błogosławieństwo ubogiego jest błogosławieństwem Boga“. „Więc cóż mamy robić“? — zapytali się wzajemnie, wychodząc z zebrania tego Ozanam i jeden z najbliższych jego przyjaciół Le Taillandier. — „Idźmy natychmiast do ubogich“. — I tegoż wieczora zanieśli obaj rodzinie znanej z ubóstwa ten zapas drew, który mieli jeszcze u siebie na resztę zimy. Dodajmy, że środki rodziców Ozanama były bardzo skromne, synowi swojemu dawać mogli tyle tylko, ile wymagało zaspokojenie najbardziej naglących potrzeb[2]).

Działo się to przed stu laty, na początku 1833 r., w maju zaś odbyło się pierwsze zgromadzenie nowego Towarzystwa Miłosierdzia. Liczyło ono 7-miu członków. Obrali za patrona św. Wincentego à Paulo.

[1]) „Meta“ (tygodnik Lwowski) Nr. 39.
[2]) Abbé F. Méjegare „Ozanam“ (Paris, Vitte t. II s. 50).

[1]) Abbé F. Méjegare „Ozanam“ (Paris, Vitte t. II, 366).
[2]) M. Zdziechowski „Fryderyk Ozanam“ (Kraków 1913 r. — s. 15 — 16).

Dziś rozsianych po całym świecie jest przeszło 12.000 konferencyj, liczba członków czynnych znacznie przekroczyła cyfrę 200 tysięcy [1]).

Sprawy miłosierdzia Ozanam ściśle łączył z kwestją socjalną i dużo miejsca jej w pismach swoich poświęcił. Stał na stanowisku ojców Kościoła, doktorów Kościoła, wielkich pisarzy katolickich, innemi słowy, wychodził z założenia, że bogacz włodarzem jest u Pana Boga odpowiedzialnym za użytek, jaki z mienia swego robi. „Chleb, który chowacie, — przytaczał słowa ś. Bazylego — należy do głodnych, szaty, które zamykacie, należą do nagich, obuwie, które u was gnije, należy do nędzarzy, co boso chodzą — i ubogiego własnością jest pieniądz, który zakopujecie w ziemi". Przejdźmy od owych wieków odległych do czasów nam bliższych. W wieku XVII sprawę ubogich niejednokrotnie i energicznie podnosił wielki kaznodzieja, jeden z największych pisarzy Francji, biskup Bossuet. Kościół określał on jako miasto ubogich, w którem bogaci są tolerowani; nic ponadto: „Bogaci — pisał — są w Kościele tylko dla ubogich; tych ubogich, których za nic macie, Bóg ustanowił swymi skarbnikami i poborcami; Bóg chce, aby składano w ich ręce wszystkie pieniądze, jakie mają wejść do jego skarbca". [2]) Siła socjalizmu — pisał za dni naszych biskup Prohászka [3]) — polega nie na doktrynie Marxa, nie na jego materjalizmie historycznym; są to stare wyblakłe antydogmaty; nie polega również na organizacji choć niezaprzeczenie umiejętnej i zwartej; rzeczywistem źródłem jego siły jest nędza proletarjatu..." „Kościół uznaje świętość prawa własności, ale nie każdej; powstajemy przeciw straszliwej lichwie, którą uprawia plutokracja, nie możemy ścierpieć, aby wszystkie bogactwa świata miały być zgromadzone w ręku kilku wybrańców; jest to przeciwne prawu natury i prawu własności".

Kwestję własności poruszył Ozanam w rozprawie o początkach socjalizmu, poruszył w sposób wyzywająco śmiały: „Własność jest dziełem człowieka, jedną z postaci niedoskonałości bytu doczesnego, instytucją tylko, lecz instytucją konieczną: chrześcijaństwo zachowało własność, jako materjał do ofiar, jako warunek do wyzbywania się jej, jako cząstkę tej wolności, bez której człowiek nie miałby zasługi..." Chrześcijaństwo potępiając kradzież, jako zbrodnię, uczyniło zarazem jałmużnę przykazaniem, oddanie zaś dóbr ubogim — radą".

Miłosierdzie podnosił Ozanam nietylko ze stanowiska kwestji socjalnej, uważał je za czynnik potężny doskonalenia się wewnętrznego i tą drogą wkraczał aż w sferę mistyki. Patrząc na ubogiego — pisze x. Baunard [4]) — okiem nadprzyrodzonem, widział w nim Chrystusa, który z miłości dla nas za życia przebywał w ubóstwie i teraz nieustannie w osobach ubogich zmartwychwstaje przed nami: „Boga nie widzimy, ale widzimy ubogich. Oni są tu. Możemy ręce nasze i palce włożyć w ich rany, a ślady korony cierniowej widzialne są na ich czołach. Dla niewiary niema tu miejsca, więc powinnibyśmy rzucić się im do nóg i mówić do nich wraz z Apostołem *Tu es Dominus et Deus meus;* jesteście panami naszymi, a my waszymi sługami". Dlatego to nazywał ubogich wysłańcami Bożymi, którzy tu są,

[1]) Por. H. Auer: „Fr. Ozanam. Ein Leben der Liebe" (Freiburg in Br., 1933, str. 107).
[2]) Por. dr. Al. Wóycicki, w „Ruchu Charytatywnym" Nr. 6, 1933.
[3]) „Christentum, Kapitalismus und Sozialismus" w *„Schönere Zukunft"*, 1926, N. 10.
[4]) „Fr. Ozanam" (Paris, 1913).

ażeby wypróbować jak daleko sięgają sprawiedliwość nasza i miłosierdzie [1]).

W poglądzie na znaczenie społeczne miłosierdzia uległ naiwnemu, powiedziałbym, optymizmowi, człowieka świętego, który według siebie sądzi o innych. Nędza powstała przeciw bogactwu, więc stańmy między walczącymi, bądźmy zbiegami kolejno przechodzącymi z jednego obozu do drugiego; u bogaczy bierzmy dużo jałmużny, u ubogich dużo rezygnacji; ubogim nieśmy dary bogatych, bogaczom wdzięczność ubogich; uczmy tych i tamtych wzajemnie na siebie patrzeć, jako na braci" [2]).

Jakże inaczej, jak realnie patrzył na świat ten, którego Ozanam uznawał za mistrza swego, Chateaubriand. Niepokoiła go inwazja idei demokratyczno-rewolucyjnych; jaką bronią — pytał — walczyć z niemi skoro skupiły się wszystkie naokoło idei oświaty powszechnej? Kto odważy się zaprzeczyć, że oświata powinna być dostępna każdemu? Ale jaki będzie tego skutek? Sprobujcie przekonać biedaka, który nauczył się czytać, a przestał wierzyć, że powinien się poddać wszystkim dolegliwościom ubóstwa, gdy sąsiad jego opływa w dostatki; innego wyjścia niema, jak zabić go, albo być przez niego zabitym. „Takim byłby świat, gdyby zamarła religja; tylko religja jest zdolna powstrzymać bestjalność natury ludzkiej, ale pod warunkiem — dodajemy do słów Chateaubrianda — że wyłaniać będzie ludzi tej miary, co Ozanam, t. j. ludzi świętych.

Sprawa beatyfikacji Fryderyka Ozanama jest w toku. Dzięki staraniom nuncjusza Cerrettiego i kardynała Amette rozpoczął się proces beatyfikacyjny. Nie jest dotychczas ukończony, procesy te trwają zawsze długo, ale otuchą dla czcicieli Ozanama jest list Piusa XI z r. 1931 do gen. prezesa konferencyj; Papież oświadczył w nim, że podziela ich gorące życzenia: „Proście Boga, aby obdarzył was tą łaską i pociechą wielką, jaką będzie dla was jego beatyfikacja" [3]).

Oczywiście, pociechą będzie, ale zapytajmy siebie my, członkowie konferencyj, z pokorą i skruchą, czy stoimy na wysokości zadań naszych, czy serca nasze płoną tym ogniem, który obejmował duszę Ozanama, czy w naradach naszych i działaniach nie nastąpiła, czego tak się obawiał Ozanam, przewaga biurokratycznej rutyny nad duchem miłości, czy mamy prawo powtórzyć za mistrzem naszym, że prace nasze są początkiem odrodzenia, którego rosnąca fala odnowi oblicze i użyźni grunt ojczyzny naszej? Nie przeczę, że postęp jest. W r. 1833 dochód założonej przez Ozanama pierwszej konferencji wynosił nie całe 2500 fr.; w r. 1930 Towarzystwo rozdało ubogim 166 miljonów fr. Pozatem Towarzystwo zakłada — zwłaszcza we Francji — lub przyczynia się do zakładania ochronek, domów sierot, kas oszczędności, i wzajemnej pomocy, szatni, czytelni, tanich kuchni, zajmuje się opieką nad dziećmi w szkołach i zakładach fabrycznych nad więźniami. Ale wszystko to wobec ogromu nędzy jest kroplą w morzu i dzień dzisiejszy powinien być dla nas dniem surowego rachunku sumienia, nie zaś dniem radości. Nie dziękczynne uroczyste *Te Deum*, lecz skruszone *Confiteor* niech będzie wyrazem uczuć naszych.

[1]) Fr. Ozanam, „Oeuvres" t. VII, s. 293.
[2]) „Oeuvres" t. X, str. 212.
[3]) Por. H. Auer, op. c. str. 227 — 249.

PROF. MARJAN ZDZIECHOWSKI

Przemówienie wygłoszone w Wilnie 19. XI b. r. w stuletnią rocznicę założenia pierwszej konferencji św. Wincentego à Paulo

Jednostka a społeczeństwo w świetle tomizmu

W artykule „Paradoksy komunizmu“ (Pax, czerwiec 1933), omówiliśmy wartość komunizmu w rozwiązywaniu najpoważniejszego zagadnienia z dziedziny stosunków jednostki i społeczeństwa, a mianowicie: jak pogodzić prawo jednostki do życia i obowiązek składania przezeń ofiary z życia dla dobra społeczeństwa.

Komunizm nie rozwiązuje tego zagadnienia bez popełnienia całego szeregu sprzeczności, ponieważ przyjął fałszywą koncepcję człowieka, sprowadzając naturę ludzką do materji.

Rozwiązać to zagadnienie może tylko ta doktryna, która, pojmując człowieka, nic nie pomija z jego natury.

Według św. Tomasza istotę człowieka stanowi ciało, połączone substancjalnie z nieśmiertelną duszą. Całość ta stanowi jestestwo, położone na rubieży dwóch światów: materji i ducha. Pogrążony w materji, uwarunkowany nią w wykonywaniu wszystkich funkcyj, człowiek jest jednak przeznaczony do wyższych celów pozamaterjalnych. Z woli Bożej meta, do której powinien on zdążać, jest położona nietylko w sferze duchowej, lecz i nadnaturalnej. Celem człowieka jest oglądanie Boga w jego tajemniczem, niezgłębionem życiu wewnętrznem i łączność z tym Bogiem na zawsze przez miłość. Przeczuwali już wielcy myśliciele greccy, Platon i Arystoteles, że kontemplacja Najwyższej Istoty jest celem dążeń ludzkich, lecz pewności całkowitej nie mieli, czy tak jest w rzeczywistości. Wątpliwość tę usunął Chrystus, objawiając, że ten a nie inny jest cel człowieka, a zarazem zaznaczając, że do tego celu został przeznaczony człowiek tylko przez nieskończoną miłość Bożą, jak również, że tego celu bez miłości nadprzyrodzonej ze strony człowieka osiągnąć nie można.

Cel ten człowiek osiąga, współpracując z łaską Bożą, doskonaląc się na obraz i podobieństwo Boże. „Bądźcie doskonałymi, jak Ojciec wasz niebieski doskonałym jest“ — powiedział Chrystus. Żeby doskonalenie się człowieka było możliwe, winien on żyć w społeczeństwie. Na to wskazuje już doświadczenie życiowe. Z pośród wszystkich tworów przyrody w swym wieku dziecięcym najbardziej bezradny jest człowiek. Inne twory mniej potrzebują opieki rodzicielskiej. Prędko zaczynają sobie radzić w życiu, szybko wyzwalają się z pod opieki matki dlatego, że Bóg je wyposażył bogato w instynkty. Człowiek pod względem instynktów jest uboższy od zwierząt; lecz zato posiada rozum, który go wynosi ponad wszelkie stworzenie. Niestety ten rozum ze stanu uśpienia, uwarunkowany funkcjami fizjologicznemi, budzi się bardzo powoli; jeśli oprócz tego uwzględnimy tę okoliczność, że pod względem cielesnym dziecko jest o wiele słabsze od zwierzęcia, bardziej niezaradne w życiu, zrozumiemy potrzebę opieki rodzicielskiej, potrzebę, a nawet konieczność pierwszej komórki społecznej — rodziny. Lecz czy rodzina wystarcza, by człowiek mógł szybko się rozwijać, by mógł dojść do pełni doskonałości? Ze względu na nieskończone aspiracje duszy ludzkiej, człowiek, nawet po dojściu do używania rozumu, w dalszym ciągu jest nędzniejszy od zwierzęcia, ponieważ zwierzę, mając aspiracje mniejsze, samo potrafi je zaspokoić, człowiek zaś wymaga pomocy społeczeństwa. Zostawiony samemu sobie, zaprzątnięty zaspokojeniem wszystkich swych potrzeb, bez pomocy innych, prędko pogrąży się w materji i straci z oczu swój cel prawdziwy.

Celem człowieka jest kontemplacja prawdy odwiecznej Boga. Lecz kontemplacja ta jest niemożliwa bez wprowadzenia harmonji w człowieku przez życie cnotliwe. Musi on najpierw poddać swe ciało duchowi, wówczas tylko duch bez przeszkód będzie mógł oddać się kontemplacji. Zadaniem państwa jest właśnie wytwarzać takie warunki, któreby ułatwiały to życie cnotliwe, któreby sprzyjały rozwojowi intelektu i woli w człowieku. Przez skierowanie swych wszystkich zorganizowanych społecznych sił, państwo ma przychodzić z pomocą człowiekowi w rozwoju jego życia cnoty, którem jest uwarunkowane osiągnięcie najwyższego, ostatecznego celu — Boga. Są to przedewszystkiem siły moralne, jak prawo, zwyczaje, wychowanie przez szkołę, książkę, obyczaje, opinja publiczna i t. d. Ponieważ jednak człowiek nie jest czystym duchem, lecz w łączności tylko z ciałem może praktykować cnotę, do utrzymania zaś i rozwoju ciała potrzebne są środki materjalne, więc zadaniem państwa jest nietylko dbać o siły moralne, lecz i o środki materjalne, które są na usługach sił moralnych. Dotychczas wykazywaliśmy potrzebę dla rozwoju człowieka.

Zajmiemy się pytaniem: j a k ś w. T o m a s z p o j m u j e p a ń s t w o. Państwo nie jest gromadą ludzi przygodnie zebranych. Jest to pewnego rodzaju całość, lecz całość specyficzna. Nie jest to całość zupełnie podobna do organizmu ludzkiego. Gdyż części organizmu w swojem istnieniu i działaniu są zależne całkowicie od całości. Ludzie zaś, żyjący w państwie, aczkolwiek są częściami całości, jednak mogą istnieć i działać nietylko niezależnie od całości, lecz nawet wbrew całości. Jedność więc, która istnieje w państwie, jest jednością mniej ścisłą od jedności organizmu. Jedność tę nazywają tomiści jednością porządku. Rozróżniają oni dwojakiego rodzaju porządek: statyczny i dynamiczny. Porządek statyczny polega na hierarchji stanowisk, jakie zajmują poszczególne jednostki i poszczególne klasy w społeczeństwie; porządek zaś dynamiczny polega na koordynacji myśli, pragnień i czynników, które stanowią życie społeczne. Zasadą tego porządku jest dobro ogółu, pojęte nietylko jako dobro materjalne, lecz jako życie cnotliwe, którego dobra materjalne są tylko warunkiem. W porządku statycznym członkowie społeczeństwa zajmują stanowiska, posiadają mniej lub więcej przywilejów, honorów i korzyści materjalnych, zależnie od tego, w jakim stopniu w porządku dynamicznym do dobra ogółu się przyczyniają. Wprowadzenie tego porządku jest zadaniem sprawiedliwej władzy.

Na podstawie tych rozważań możemy powiedzieć, że istota państwa polega na zgodnej dążności jednostek ludzkich do dobra ogólnego pod kierownictwem władzy.

Państwo, pojęte jako całość, w której istnieje jedność porządku, jest czemś różnem od sumy jednostek. Jako dowód służy fakt, że niezawsze życie państwa jest w prostym stosunku do życia jednostek, np. państwo może tracić na sile, aczkolwiek ilość jednostek wzrasta; może się wzbogacać, chociaż obywatele biednieją, może ubożeć, aczkolwiek obywatele się wzbogacają. Państwo jest czemś różnem od sumy jednostek, które w jego skład wchodzą. Bowiem jedność porządku, która łączy, organizuje energje indywidualne, niekiedy sobie przeciwne, rodzi nową energję społeczną, która się narzuca energjom indywidualnym, pobudza je, potęguje. Ta energja łącząca i czynna jest bytem rzeczywistym. Trudno jest wytworzyć sobie jasne wyobrażenie tego bytu. Ale to jeszcze nie jest racją zaprzeczenia jego realności, gdyż wyobraźnia nie jest miarą realności. Ten byt społeczny poznajemy tylko naszym umysłem. Nazywają go osobą moralną, ponieważ ta nazwa oddaje najlepiej jego realność i jego niedoskonałość.

W rezultacie możemy powiedzieć, że państwo jest bytem, który bez jednostek ani istnieć ani działać nie może, a który jednak jest od nich czemś różnem. Jest ono czemś od sumy jednostek doskonalszem — transcendentem, a jednak w nich istniejącem — immanentem. Dlatego państwo nazywają ideałem naraz transcendentnym i immanentnym.

Jakie więc wynikają wnioski z takiego pojmowania państwa? Jakie są obowiązki członków państwa i jakie są ich prawa? Jak rozwiązać problem prawa jednostki do życia i obowiązek złożenia tego życia w ofierze, gdy tego zajdzie potrzeba.

Żeby to zagadnienie rozwiązać, należy zaznaczyć, że każdy człowiek, który wchodzi w skład państwa może być rozważany, według św. Tomasza, jako część składowa całości i jako osoba obdarzona rozumem i wolną wolą. Jako część składowa całości powinien podporządkować się całości, ponieważ jako byt niedoskonały istnieje ze względu na byt doskonalszy i w nim znajduje uzupełnienie tego, co mu nie dostaje, czego nie posiada z natury. Pod tym względem jest on podobny do organu, np. ręki, czy nogi, która wchodzi w skład całości organizmu. I jak celem każdego organu jest dobro całości, podobnie też i celem człowieka, jako składowej części państwa jest dobro państwa całego. I jak każdy ból przyczyniony ręce staje się bólem całości, tak też każde złe postępowanie, każda niedoskonałość jednostki jest szkodą, która się odbija na całości społeczeństwa. Na tym właśnie stosunku części do całości funduje św. Tomasz cnotę, znaną pod nazwą „iustitia generalis", czyli sprawiedliwość społeczna, której zadaniem jest skierowywać wszystkie czynności do dobra ogółu. Powodować się własnym interesem, własnemi zachciankami w działaniu, znaczy wykraczać przeciw cnocie sprawiedliwości społecznej. Ponieważ jednostka, jako składowa część państwa ma obowiązek kierowania się w swej działalności dobrem ogółu, państwo ma też prawo wymagać podporządkowania się dobru całości. W doktrynie tomistycznej właśnie realizuje się ten ideał komunistyczny, że jednostka w działaniu swem powinno być przesiąknięta do szpiku kości dobrem całości. Ideału tego nie jest w stanie uzasadnić materjalizm komunistyczny, dla którego państwo jest tylko sumą jednostek. Uzasadnia go tomizm, bowiem według jego doktryny państwo, jako całość, jest czemś więcej niż sumą jednostek: jest czemś transcendentnem a zarazem konkretnem, bo istniejącem.

Mimowoli nasuwa się pytanie, czy z tego, cośmy powiedzieli, nie wynika przypadkiem etatyzm, to zn. czy państwo nie staje się suwerenem kompletnym jednostki, tak, że może jej rozkazywać wszystko, może z nią co chce zrobić, nawet pozbawić życia?

W doktrynie tomistycznej na etatyzm niema miejsca. Państwo jest całością, lecz całością, której części nie tracą swego bytu, swej indywidualności. Tu właśnie wchodzi ten drugi wzgląd, pod którym człowiek powinien być rozważany — a mianowicie, jako osoba ludzka, jako byt substancjonalny, istniejący w sobie. Pod tym względem celem człowieka nie jest państwo, lecz Bóg; całkowity rozwój jego osobowości przez życie społeczne staje się tylko środkiem do rozwoju życia nadprzyrodzonego łaski; cel, jakim jest dobro ogółu, staje się tylko środkiem do celu ostatecznego. Racją zaś tego jest fakt, że człowiek, wchodząc w skład społeczeństwa, tylko w sensie analogicznym staje się częścią całości, bowiem będąc częścią składową, nie zatraca swego bytu indywidualnego i swej godności człowieka. Św. Tomasz powiada, że do tego, by indywiduum ludzkie mogło być traktowane tylko jako część, którą można rozporządzać dowolnie, potrzeba, żeby on utracił przez grzech godność człowieka i swoje prawa wyższe osoby ludzkiej.

Jak długo zaś człowiek nie utraci godności osoby ludzkiej, tak też długo nie wolno państwu rozporządzać jego życiem dowolnie. Dlatego to, aczkolwiek człowiek chory zakaźnie niekiedy jest niebezpieczniejszy dla ogółu od zbrodniarza, jednak władza państwowa nie ma prawa pozbawić go życia, podobnie, jak pozbawia życia zbrodniarza, skazując go na śmierć. Bowiem chory nie tracąc godności osoby ludzkiej, nie traci prawa do życia nadprzyrodzonego, do pomnożenia w sobie łaski, nawet ze szkodą zdrowia publicznego. Zbrodniarz zaś, tracąc godność ludzką, traci prawo do życia.

Aczkolwiek wielkie i święte są prawa człowieka jako osoby, jednak państwo może wymagać od swego obywatela, by on złożył w ofierze swe życie w tych wypadkach, gdy dobru ogólnemu zagraża wielkie niebezpieczeństwo. Jednostka ludzka w tych wypadkach jest nawet obowiązana spełnić nakładany jej obowiązek ofiary z życia, ponieważ życie doczesne jest tylko środkiem do rozwoju nadprzyrodzonego życia miłości. Oddając swe życie za ogół, obywatel nietylko nie poniża swej godności osoby ludzkiej, nietylko nie umniejsza życia łaski, lecz osiąga najwyższy jego rozwój, bowiem, według słów Chrystusa, niema większej miłości ponad tę, która oddaje swą duszę za przyjaciół swoich.

Z tych rozważań widzimy, jak tomizm, pojmując wszechstronnie człowieka, rozwiązuje w harmonijnej syntezie najtrudniejsze zagadnienia stosunku prawa jednostki do życia i obowiązek ofiary z życia dla dobra ogółu. System zaś, który rozwiązuje to podstawowe zagadnienie jest systemem twórczym, zdolnym pchać ludzkość na coraz to nowe tory życia. Celem człowieka według tego systemu jest Bóg. Stwarzając człowieka, nadaje mu P. Bóg pewne zdolności, zapomocą których ma on zdążać ku Niemu. Owe zdolności człowiek może rozwinąć szybko, tylko żyjąc w społeczeństwie, które tyle mu daje prawa korzystać z dobra ogólnego, ile on walorów dodatnich doń wnosi. Będąc częścią społeczeństwa, w całej swej działalności powinien się kierować dobrem ogółu, bo tego wymaga sprawiedliwość społeczna, która jest królową wszystkich cnót moralnych. Ale ponad sprawiedliwość, obowiązuje go miłość. Będąc częścią społeczeństwa, nie przestaje być osobą, której celem jest rozwijanie w sobie miłości nadprzyrodzonej ku Bogu. Miłość zaś sięga dalej od sprawiedliwości. Ona to właśnie popycha nieustannie człowieka do czynienia więcej dobra dla społeczeństwa, niż od niego się otrzymuje, a w rązie potrzeby nakazuje mu złożyć w ofierze życie doczesne. Tam, gdzie jest tylko sprawiedliwość, tam jest stagnacja; tam gdzie jest miłość, tam tylko prawdziwy postęp. Ponieważ tomizm nie poprzestaje na sprawiedliwości, lecz sięga do czynnika miłości, dlatego jest systemem naprawdę twórczym.

W. S.

René Clair i Odysseja

Sinclair Lewis pisze o swoim bohaterze George F. Babbitt'cie, iż „lubił on trzy rodzaje filmów: ładne, kąpiące się dziewuszki z nagiemi nogami; przemyślną strzelaninę rewolwerową policjantów i cowboyów, i śmiesznych grubasków, jedzących spaghetti". — określenie to można rozciągnąć na $^4/_5$ osób uczęszczających do kina. — Zresztą, nieomal do ostatnich czasów sztuka filmowa była kombinacją tych trzech motywów. — Wynalazek filmu dźwiękowego i szybkie przeżycie się głupawych a kosztownych rewij w rodzaju „Rio Rita" — wprowadziło film na właściwą drogę przez połączenie trzech elementów: inteligentnej treści, dźwięku i ruchu. Zjawia się szereg nowych „rodzajów literackich" filmu n. p. komedja muzyczna, doprowadzona do szczytu perfekcji w produkcjach Liljany Harvey jak np. „Trójka ze stacji benzynowej" czy „Kongres Tańczy", obok tego widzimy dobre obrazy amerykańskie, jak „Człowiek, którego zabiłem", „Grand Hotel", „Czemp", „Ulice Wielkomiejskie" czy „Kawalkada" — o treści przemyślanej, uzasadnionej psychologicznie i artystycznie. — Cały szereg reżyserów, jak np. Mammoulian — i zdolnych aktorów jak Fr. March, Silvia Sidney czy Clive Brook utrzymują obrazy t. zw. „extra-klasy" na wysokim poziomie prawdy artystycznej i logicznej. Jednakże całat a produkcja jest *primo:* zarażona oportunizmem w stosunku do szerokich gustów publiczności — kąpiące się dziewuszki, strzelający cowboye i śmieszni ludkowie — raz po raz ni przypiął ni przyłatał pojawiają w dziełach o dużej wartości artystycznej jedynie w celu „zrobienia kasy" — *secundo:* brakuje im . . . filozofji — spojrzenia z własnego punktu widzenia na życie.

Dopiero przed paru laty we Francji — pojawia się nieznany dotychczas reżyser René Clair, który przy stosunkowo niewielkich możliwościach materjalnych dał filmom w swoich cudownych „contes

philosophiques" ekranu to, czego mu dotychczas brakowało — duszę — Filmy jego: „Million", „A nous la liberté", „Sous les toits de Paris" i „14 Juillet" — obracają się około odwiecznych zagadnień, szczęścia, miłości i wolności — forma wyrazu jest ironiczna — ale tą dobroduszną, życzliwą ironją — wyśmiewającą formę, głupią i niedostateczną, a odnoszącą się z szacunkiem i miłością do szlachetnej treści. — Np. w „Millionie" mamy cudowną parodję opery z zachowaniem nienaruszonej jej zasadniczej treści — piękna muzyki.

Uczucie jest dla Clair'a czemś istotnem i tylko jej przygodne akcesorja, sztuczne chmurki i księżyc w „Miljonie" — sztuczny ptaszek i fałszywy Ogród Czarów w „A nous la liberté" są śmieszne, ale śmiesznością rzeczy nam miłych i przyjemnych. — Filozofja życiowa Clair'a — to wyrzeczenie się i zaprzeczenie więzom, które dzisiejsza materjalna cywilizacja nakłada nawet na nasze rozrywki i przyjemności a przedewszystkiem na duszę, wtłaczając ją w reguły i formułki — kwiat powoju drgający pod promieniami letniego słońca i śpiew dziecka mają większą doniosłość dla duszy ludzkiej — aniżeli cały asortyment fabryk. — Złoty kurz gościńców pod dziurawemi butami włóczęgi więcej jest wart od przymusowej, ogłupiającej pracy w zmechanizowanej fabryce. — Jeżeli już musi być mechanizacja, to niech maszyna będzie sługą człowieka, a nie jego tyranem. Pieniądz?! — Czemże jest pieniądz wobec krwi ludzkiej i wobec miłości?

Jeżeli chodzi o stronę artystyczną Claira to można zaryzykować twierdzenie, iż stoi on u szczytu skończonego artyzmu współczesnej sztuki filmowej — niezwykle subtelne podkreślanie myśli filmu nawet przeznajdrobniejsze szczególiki — głęboki przenikliwy zmysł w zarysowywaniu psychologji bohaterów — i wreszcie przepajanie rytmem muzycznym całej akcji — wysunięcie na plan pierwszy ruchu i rytmiki stanowią główne tytuły do chwały artystycznej Clair'a.

Filmy Clair'owskie są rozumiane, odczuwane i oceniane przeciętnie przez 1/4 widzów. — Babbitty hołdują starym gustom — Powód? wiecznie ten sam. — Marczyński, Zarzycka i kryminalne powieści z drugiej ręki zawsze będą popularniejsze od Odysseji. — Stwierdzić trzeba jedno — Film stał się sztuką i rezultat osiągnięty w „Miljonie" lub w „A nous la liberté" jest niemniejszą pozycją w dorobku kultury, niż nieśmiertelna Odysseja. *Cz. Jeśman.*

Magazyn intelektualny

„Wiadomości Literackie" wydały dodatek p. t. „Ze świata katolickiego". Ustalona opinja wydawcy, — pisma ultra-liberalnego — uspasabia nieufnie do owego dodatku. Wiadomo przecie, że nawet najbardziej konsekwentny liberał nie potrafi ustosunkować się objektywnie i tolerencyjnie do katolicyzmu, choć zdaje mu się, że ma zrozumienie dla wszelkich opinij i odczucie dla wszelkich postaw duchowych. Jednakże przyznać należy, że „Wiadomości Literackie" wykazują pod tym względem wiele dobrej woli, skoro drukują na swych szpaltach artykuł takiej powagi, jak ks. Jakubisiak. Z drugiej strony nie należy posądzać „Wiadomości" o jakieś „nawrócenie" — chcą one poprostu stać się „uniwersalnym magazynem intelektualnym" — jak zapowiada w imieniu redakcji Paweł Hulka-Laskowski, — katolicyzm zaś zbyt ważkim jest towarem, by go można było w tym magazynie pominąć.

Powstaje teraz pytanie, w jaki sposób mają się katolicy ustosunkować do takiego źródła informacyj o katolicyzmie, jakim jest organ liberałów, szeroko wsławiony prapagandą haseł z punktu widzenia etyki katolickiej wręcz niedopuszczalnych. Czy mamy je bojkotować, zwalczać? To się na nic nie zda. „Wiadomości Literackie" są pismem zbyt poczytnem, byśmy się mogli łudzić, że wpływ ich ograniczymy zignorowaniem, lub zagłuszymy krzykiem. Nie można jednakże pozwolić, by szeroki ogół pouczali o katolicyzmie ludzie, którzy badają go od zewnątrz, nie będąc posiadaczami pełni prawd, jakiemi żyjemy.

W „katolicki" dodatek „Wiadomości" należy się wczytywać pilnie a krytycznie, należy wyrobić sobie zdanie o każdym, poszczególnym artykule. Już bowiem z pierwszego numeru widać, że nie będą one jednakowe, ani co do poziomu — (jest przepaść między naiwnym „Katolicyzmem na wygnaniu" J. E. Skiwskiego, a gruntowną, naukową rozprawą „O katolickim uniwersalizmie" ks. Jakubisiaka),— ani nawet co do ustosunkowania się do przedmiotu: Ks. Jakubisiak jest autorytetem naukowym, uczonym filozofem, którego podpis dla wielu czytelników może być autorytatywny. Pozostali współpracownicy są mniej lub więcej od katolicyzmu dalecy i do niego uprzedzeni, będą go zatem oświetlać mniej lub więcej subjektywnie (np. twierdzenie Skiwskiego, że nie można dowieść ani konieczności religji, ani prawdziwości jej dogmatów). Ten subjektywizm wykazywać, te mimowolne lub umyślne rozminięcia się z prawdą katolicką prostować w słowie i piśmie, oczyszczać ziarno od śmieci, nieuniknionych w „uniwersalnym magazynie intelektualnym" — oto jest w stosunku do „Wiadomości Literackich" tymczasowe zadanie uświadomionych katolików. Powiadam „tymczasowe", bo wskazana przez W. Charkiewicza w artykule p. t. „Wiadomości Literackie w sutannie" (Słowo z 18. XI. 1933 r.) potrzeba „poważnego katolickiego czasopisma, redagowanego przez laika i przeznaczonego dla szerszych warstw inteligencji" jest istotnie potrzebą palącą. Pismo takie musiałoby wziąć na siebie planową i stałą polemikę z „Wiadomościami Literackiemi". *Janina Budkowska.*

Kto jutro?

Na marginesie ANTOLOGJI POEZJI SPOŁECZNEJ 1924—1933, wydanej nakładem Koła Polonistów Słuchaczy U. S. B., Wilno, 1933 r.

Nie jest to recenzja — raczej refleksja okolicznościowa.

* * *

Kątem, pod jakim antologję, układano jest temat społeczny. Kwestja społeczna drży w chwili — i to się daje odczuć w poezji. Proszę mi wskazać choć jedno zdolne nazwisko Polski najmłodszej, któreby było nazwiskiem poetyckiem i nie miało znamienia społecznego. Są ludzie, których w innym czasie temperament uniósłby w inne tematy. Przeglądając np. wiersze Teodora Bujnickiego śmiem twierdzić, że nie jest to z temperamentu poeta społeczny — nie społeczne jego wiersze są najlepsze. Ale w Antologji widzimy również jego nazwisko i słusznie: pociągnęła go bowiem Chwila. Kwestje społeczne to tematy najbardziej dziś aktualne, które nie są obojętne dla nikogo z młodych — zdolnych czuć i reagować. To są ważne wskazania dla wychowawcy, działacza społecznego, dla każdego, kto chce być w szeregu ludzi, rozwiązujących problemy i trudności chwili.

Czytając poetów, których wybrano do Antologji, odczuwa się niejednokrotnie dużo fałszywego patosu, dużo „społecznej stylizacji". Pisanie społeczne jest dziś tem, czem w romantyzmie było wichrzenie czupryny, drapowanie płaszcza i błądzenie po wertepach przy księżycu. A te tony sztuczne są tym samym wskaźnikiem Chwili co tony szczere i prawdziwe. A tych nie brak.

Konstatujemy: Ponieważ budzą się nowe młode siły, protestujące przeciwko dotychczasowym stosunkom społecznym dalekim od ideału sprawiedliwości, przeto ci, którzy stoją po stronie form starych, muszą przegrać.

Pozwolę sobie zacytować Jalu Kurka:

Jeszcze w każdem kinie łka Marlena Dietrich,
a ja oglądam się za wami,
Każdy z was młody i giętki,
wołamy się, wołamy:
— My!
Jutro my!

Wstańcie!
Za słabo krzyczycie, za słabo!
Mocniej wyduście powietrze
Twardziej ściśnijcie gardła,
ażeby obudzić Polskę,
która wam w piersiach umarła!

Wam — kwitnącym miljonom
wam — wstającym krzykom stuleci
podaję gromkie hasło,
hasło idących dni:
— My!
Jutro my!

Ale nie wszyscy ci „młodzi i giętcy" potrafią świat przebudować w myśl sprawiedliwości i słuszności. Czem innem jest poczucie niesłuszności i niesprawiedliwości, czem innem jest odnalezienie drogi właściwej. Szukam cech przyszłych budowniczych. „Młodzi i giętcy" — mało! „Krzyk gromki i wspólny" — mało! mało! — W całej Antologji nie zagrał ani razu prawdziwy motyw, dla którego i wedle którego można podjąć przebudowę świata.

Tedy — — — gotuj się! I my coś mamy do powiedzenia. My, zdecydowani i mocni, my stojący na twardej opoce. My — wierzący.

Paweł Łebcz.

Kres bezrobocia na drodze największego oporu

Stosunek społeczeństwa i państwa do zagadnienia braku pracy ma swoją historję, przeszedł różne etapy i wytworzył różne systemy.

Pierwszy system to — rozdawnictwo, pomoc bezzwrotna. Nie posiada zbyt dobrej tradycji. Nie liczy się z godnością człowieka, deprawuje moralnie. Przed stosowaniem jego ostrzega nas wizja z czasów rzymskich — tłum wołający: *panem et circenses.*

Drugim z kolei stał się w nowszych czasach system ubezpieczeń. Wyższość jego nad rozdawnictwem polega na czysto moralnem przeświadczeniu, jakie posiada bezrobotny, korzystający z zasiłku, że środki, otrzymywane przezeń, pochodzą z jego własnych oszczędności. Przeświadczenie to dogadza poczuciu godności osobistej, ale, jeżeli chodzi o wpływ wychowawczy, sprzyja raczej tworzeniu się psychiki rentjera, a nie dobrego pracownika.

Najsłabszym punktem systemu ubezpieczeń jest jego bezsilność w praktyce, gdy zjawisko bezrobocia występuje masowo i nabiera cech żywiołowości. W takich wypadkach na pomoc instytucjom ubezpieczeniowym mobilizuje się kredyty ze skarbu państwa i sięga się do ofiarności społeczeństwa. Tą drogą powstaje doraźna akcja pomocy bezrobotnym, nosząca również pewne cechy rozdawnictwa, gdyż świadczenia społeczeństwa i skarbu państwa na rzecz bezrobotnych noszą charakter świadczeń bezzwrotnych. Stronę wychowawczą akcji doraźnej ratuje odpowiednia propaganda, która traktuje zjawisko bezrobocia narówni z klęską żywiołową.

Stosowaną ostatnio w dobie kryzysu pomoc bezrobotnym, opartą równocześnie o fundusz ubezpieczeniowy i akcję doraźną społeczeństwa i rządu należy uznać za trzeci z kolei system w historycznym rozwoju stosunku do bezrobocia. Z gospodarczego punktu widzenia nie posiada on wielkich zalet. Na zapewnienie egzystencji bezrobotnym zużywa on części dochodu społecznego, przeznaczone na kapitalizację, narusza oszczędności, zebrane dobrowolnie lub pod przymusem.

Konsumowanie przez bezrobotnych tych oszczędności przyczynia się do zubożenia społeczeństwa i hamuje narastanie środków potrzebnych dla obudzenia ruchu inwestycyjnego, przez co przyczynia się do wzrostu bezrobocia.

Trzeba społeczeństwu wzamian za ponoszone ofiary na rzecz bezrobotnych dać ekwiwalent wartości gospodarczych, pozwalający powetować straty, spowodowane nieodpłatną konsumpcją bezrobotnych.

Tym równoważnikiem ze społecznego punktu widzenia może być tylko praca bezrobotnych. Innych niewyzyskanych wartości gospodarczych społeczeństwo nie posiada.

Doświadczenia paru lat kryzysu sprawiły, że Polska zdobywa się obecnie na tworzenie warsztatów, któreby mogły wyzyskać marnotrawione dotychczas wartości, jakie przedstawia praca bezrobotnych, konsumujących nieodpłatnie dochód społeczny.

Powołany do życia na miejsce dotychczasowych Funduszów Bezrobocia i Komitetów do spraw bezrobocia Fundusz Pracy jest wyrazem czynionych wysiłków w tym kierunku.

Została postawiona zasada, że wzamian za pomoc, jaką społeczeństwo okazuje bezrobotnym, winni oni płacić pracą. Podporządkowanie tej zasadzie całej akcji zwalczania bezrobocia i pomocy bezrobotnym, stwarza nowy, czwarty już w porządku chronologicznym system ustosunkowania się społeczeństwa do bezrobotnych. Wyższość gatunkowa tego systemu nad omówionemi wyżej, stosowanemi poprzednio metodami pomocy bezrobotnym jest oczywista. Nie można jednak się dziwić, że przystąpiono do jego realizacji tak późno i pod presją konieczności. Składały się na to liczne przyczyny natury gospodarczej i ustrojowej.

Przyczyny, a raczej trudności natury gospodarczej, streszczają się w tem, że zatrudnienie wymaga:

a) łożenia poza kosztami robocizny na koszta materjałów, dozoru, narzędzi i t. d. — co powoduje znaczniejsze wydatki, niż zapewnienie nędznej egzystencji,

b) takiego doboru prac, aby ich owoce nie konkurowały na wolnym rynku z wytworami przemysłu i rolnictwa i aby koszta, związane z ich prowadzeniem, w niczem nie umniejszały normalnych sum budżetowych prywatnych i publicznych, przeznaczonych na inwestycje.

Dokonane już przeznaczenie środków, łożonych dotychczas na nieodpłatną pomoc bezrobotnym, dla celów inwestycyjnego zatrudnienia bezrobotnych, nie usuwa pierwszej z podniesionych wyżej trudności, gdyż należy sobie zdawać sprawę, że środków tych nie wystarczy; a przez wypompowanie nowych środków z dochodu społecznego, umniejsza się zasoby, odkładane przez społeczeństwo na cele inwestycji prywatnej.

Sprawa takiego jakościowego doboru prac dla bezrobotnych, aby nie stwarzały one wartości konkurencyjnych w stosunku do dóbr, wytwarzanych normalnie, daje się rozwiązać łatwo. Zgóry wiadomo, że są to przedewszystkiem prace inwestycyjne. Znacznie trudniejszy jest problem celowości, użyteczności tych prac.

W tej płaszczyźnie dobór ich i ustalenie kolejności winny się odbywać pod kątem widzenia jak najdalej posuniętego zwiększenia dochodu społecznego, obniżenia kosztów produkcji, transportu i t. p. Od właściwego doboru i kolejności prac będzie zależało, w jakim stopniu i jak szybko społeczeństwo powetuje sobie nieuniknione straty, poniesione wskutek finansowania konsumpcji bezrobotnych, stosowanej dotychczas, oraz koszta dodatkowe inwestycyj, dokonywanych przy pomocy bezrobotnych obecnie.

Analiza podłoża gospodarczego akcji zatrudnienia bezrobotnych odrazu wskazuje na to, że jej niezbędnym warunkiem jest większa interwencja państwa w życie gospodarcze społeczeństwa, niż to miało miejsce dotychczas. Prowadzenie prac w skali odpowiadającej dzisiejszemu stanowi bezrobocia, wymaga opracowania daleko posuniętych i szczegółowych planów gospodarczych, oraz wykonania tych planów niezależnie od konjunktury rynku prywatnego.

Wpływ realizacji planowych posunięć gospodarczych państwa na życie prywatne społeczeństwa będzie olbrzymi, gdyż państwo, wkraczając raz na drogę rozbudowy gospodarki społecznej na własny koszt i ryzyko, będzie musiało w konsekwencji dążyć do podporządkowania sobie żywiołowych fluktuacyj konjunkturalnych na wolnym rynku, aby uniezależnić się od nich i nadać im pożądaną przez siebie linję rozwojową.

Gospodarka państwa, w którem prócz administracji, sądownictwa, służby zdrowia, przedsiębiorstw użyteczności publicznej, przedsiębiorstw o charakterze fiskalnym, robót publicznych i t. p., zostaną zorganizowane ponadto roboty innego rodzaju, przedsiębrane celem dostarczenia części społeczeństwa środków do życia, staje się gospodarką przynajmniej w części uspołecznioną i planową. Nie jest to bynajmniej socjalizacja i planowość w rozumieniu „wschodniem" tych określeń, ale w każdym razie zawiera w sobie obok momentów gospodarczych momenty ustrojowe.

Szukanie rozwiązania zagadnienia nadmiernej podaży pracy na drodze organizowania pracy przez państwo i akcji zatrudnienia kryje już w swem założeniu decyzję na zmiany ustrojowe, których tego rodzaju akcja wymaga. Powzięcie takiej decyzji oraz przewidywane trudności natury gospodarczej, o których była

mowa wyżej, odwlekły chwilę zastosowania w sprawie bezrobocia nowego systemu postępowania, jakim jest niezawodnie akcja zatrudniania, odpowiednio przeprowadzona ze wszystkiemi jej konsekwencjami.

Przyjęcie tego systemu w porównianiu z poprzedniemi stanowi porzucenie linji mniejszego oporu na rzecz linji największego oporu.

Jest to objaw szczególnie dodatni przez fakt porzucenia biernego stanowiska, jakiem była zwykła pomoc, dyktowana względami humanitarno-defenzywnemi t. j. litością i obawą rozruchów, na rzecz czynnego działania w kierunku opanowania fluktuacyj konjunkturalnych przez zwalczanie bezrobocia jego własną bronią. Broń tę stanowią dotychczas nienotowane w bilansie gospodarstwa społecznego wartości odpowiednio zorganizowanej i wyzyskanej pracy bezrobotnych. O ile wartości wniesione przez tę pracę przewyższą ofiary społeczeństwa na rzecz utrzymania bezrobotnych i stworzenia dla nich warsztatów pracy, nastąpi wyjście z błędnego koła kryzysu i ogólny wzrost dobrobytu. Przesilenie gospodarcze minie, jeżeli na najważniejszym odcinku życia gospodarczego, na odcinku polityki pracy, linja największego oporu da się przeprowadzić i utrzymać.

J. Święcicki.

Co nas boli

Przed kilkoma miesiącami odbył się ślub p. Prezydenta Rzeczypospolitej z p. Marją Dobrzańską. W związku z tem w prasie katolickiej pojawiły się wzmianki o nadesłanem przez Ojca św. błogosławieństwie, ponadto zamieszczono tam fotografje z uroczystości ślubnych, przedstawiające dostojną parę w towarzystwie najwyższych dostojników kościelnych w Polsce. Oczywiście takie przedstawienie sprawy nie może dawać żadnego powodu do jakichkolwiek komentarzy. Tymczasem stugębna fama, tem gorsza, bo wstydliwie ukrywana pod zasłoną dymową papierosów w wytwornych salonach, jak i w drobnomieszczańskich pokoikach, rozniosła, opierając się na pantoflowych informacjach, że p. Dobrzańska jest mężatką (p. Nagórna). Z jednej strony zapytywano — ponieważ brak było publicznych enuncjacyj w tej sprawie — jak dojść mogło do katolickiego małżeństwa w takich warunkach. Z drugiej strony przeciwnicy katolicyzmu, albo specjalnie wrogowie kleru, upatrują w tem jeszcze jeden dowód więcej na potwierdzenie sensacyj Boy'a, który swego czasu „podnosił kurtynę" stosunków w kongregacjach rzymskich. Sytuacja tego rodzaju jest niezmiernie szkodliwa i dla prestige'u państwa i dla sprawy Kościoła. Winę za to ponoszą — czynniki kościelne, ponieważ nie podały do publicznej wiadomości odpowiedniego wyjaśnienia, a mianowicie motywów unieważnienia poprzedniego małżeństwa. To, że oglądaliśmy w prasie obrazki opisane powyżej, i że Ojciec św. udzielił swego błogosławieństwa nie stanowi jeszcze wyjaśnienia. Jest to raczej maskowanie tej sprawy, zupełnie niepotrzebne i wręcz szkodliwe. Owszem, dało to nawet asumpt wrogom katolicyzmu do twierdzenia, że osoby majętne, mimo nierozerwalności małżeństwa, potrafią uzyskać „rozwód", podczas kiedy człowiek mniej zamożny musi szukać ratunku na Zawalnej. Zarzut tego rodzaju jest oczywiście bezczelny. My, którzy wiemy, że w XVI w. Kościół nie zawahał się utracić może najcenniejszych synów swoich w Anglji, byle nie dopuścić do rozerwania małżeństwa, nie moglibyśmy przypuścić, że polityka Kościoła zeszła z prostej linji. Ale nie mamy żadnych dowodów oficjalnych w postaci oświadczenia władz kościelnych w tej sprawie, coby zażegnało i uspokoiło niesmaczne i pokątne uwagi na ten temat. Ze swojej strony drogą nieoficjalną dowiedzieliśmy się z kurji warszawskiej, że unieważnienie pierwszego małżeństwa p. Dobrzańskiej nastąpiło z przyczyn kanonicznych *conditio apposita* i *defectus consensus*. Dotąd jednak brak oficjalnego potwierdzenia tej wersji.

w r

*

Na marginesie kabaretowych wieczorów „Smorgonji" wyłoniła się ponownie, poruszona już przez listopadowy zeszyt „Włóczęgi", sprawa eksmisji pracowni rzeźbiarskiej Rafała Jachimowicza. P. W. Charkiewicz w feljetonie, poświęconym Radzie Wileńskich Zrzeszeń Artystycznych i jej klubowi, niesłusznie stwierdził, że „Smorgonja" wystawia na pośmiewisko wyeksmitowanego rzeźbiarza i jego tragiczną sytuację, podczas, gdy mu się należy tylko pomoc.

Nie chodzi mi w tym wypadku o „Smorgonję", tylko o eksmisję i wytworzony później, a trwający dotychczas, stan rzeczy. Fakt, że eksmisja została dokonana przez administratora domu kapitulnego, nie powinien wpływać na negatywny stosunek do kapituły całego społeczeństwa, tak niekatolickiego, jak i katolickiego. Jest chyba rzeczą jasną, że w danym wypadku nie chodziło o działalność władzy kościelnej, związaną z jej wysokiem posłannictwem, tylko o wykorzystanie możliwości cywilno-prawnych, zgodne z obowiązującemi ustawami, chociaż niewiele mające wspólnego z czynną miłością bliźnich. Niemniej w dwustutysięcznem Wilnie zabrakło jakiejkolwiek poważnej reakcji i wszystko skończyło się na kilkunastu mniej lub więcej dobrych dowcipach. Wilno jest przez niektórych entuzjastów uważane za miasto kulturalne i posiada, jak wiadomo, wielopiętrowe organizacje artystyczne, Towarzystwo Artystów Niezależnych i nawet Artystyczną Spółdzielnię. Wszystkie te społeczno-artystyczne stowarzyszenia pozostawiły sprawę do rozstrzygnięcia czasowi, losowi, względnie Wojewódzkiemu Oddziałowi Sztuki, który widocznie czeka, aż będzie mógł podjąć w stosunku do zniszczonych rzeźb prace konserwacyjne.

Jednak poza tem mało aktywnem stanowiskiem ogółu wileńskiego, należy zanotować aż nadto aktywne stanowisko wierzyciela-administratora domu kapitulnego. I ta okoliczność już musi obejść raczej katolików i wszystkich, szanujących czyjeś przekonania religijne. Rzeźby, posiadające w dużej części motywy i tematy religijne, zostały wyrzucone na śmietnik. Podobno uzasadnia się to tą okolicznością, że są one niepoświęcone i dlatego nie należy do nich przywiązywać żadnego znaczenia. Już sam fakt rzucenia na śmietnik niewątpliwych przedmiotów sztuki świadczy o specyficznym stosunku dozorcy domu i jego zwierzchnika do zagadnień kulturalnych, w tym wypadku mamy jeszcze bezceremonjalne potraktowanie uczuć religijnych. Przeciętny osobnik nie zadaje sobie pytania, czy jest istotna różnica pomiędzy przedmiotem poświęconym, czy niepoświęconym, a doznaje tylko niesamowitego uczucia, widząc święte postaci koło ustępu kapitulnego domu. Bowiem na rozważania, czy formalnie rzecz biorąc mamy wypadek profanacji, czy też dzięki pewnym okolicznościom dany stan rzeczy pod pojęcie znieważenia podciągnąć się nie daje, zdobyć się umie tylko umysł nieprzeciętny i wykształcony prawniczo. Człowiek, który tylko czuje, czuje właśnie profanację swoich uczuć religijnych.

Nie sądzę, żebym ja właśnie był powołany do tego rodzaju oświadczeń. Nie mam też ochoty, aby ktoś twierdził, że jestem plus catholique que le pape, gdyż byłoby to niesłuszne. Nie uważam jednak, aby katolickie pismo, jakiem jest „Pax", miało pominąć milczeniem i starało się zapomnieć o tego rodzaju miłych uczynkach (zwłaszcza przy okazji Tygodnia Miłosierdzia) dlatego tylko, że spowodował je ksiądz. Myślę, że są ludzie, którzy zrozumieją różnicę pomiędzy księdzem przy ołtarzu, a księdzem administratorem.

C. J. F.

*

Dn. 2. XII. b. r. odbyła się Czarna Kawa, jako jedna z imprez Tygodnia Akademika. Tańczono na niej i po 12 g. w nocy. Wśród tańczących byli i członkowie katolickich organizacyj akad. Adwent zaczął się o 12 g. w nocy z dn. 2 na 3 b. m. Adwent należy do t. zw. „czasów zakazanych", kiedy to, według V przykazania kościelnego, nie można urządzać hucznych zabaw. Przykazania kościelne obowiązują pod grzechem wszystkich katolików.

* * *

Tak się przedstawiają fakty. Jeśli je traktować, abstrahując od przyczyn i skutków, są one zbyt błahe, by rozdzierać nad niemi tużurek.

Poruszamy jednak tę sprawę, bo uważamy, że podane fakty charakteryzują dobrze nasze społeczeństwo katolickie.

Publicznie złamane zostało przykazanie kościelne. Zasadniczą winę ponoszą organizatorzy zabawy, bo nie powinni byli jej urządzać na pograniczu Adwentu i narażać w ten sposób gości na przekroczenie nakazów Kościoła. Czy była to ignorancja przykazań Kościoła, czy też ich lekceważenie?

I jedno i drugie świadczy, że jesteśmy katolikami tylko z przypadku, że brak nam głębszego przekonania, brak konsekwencji w życiu; albo jesteśmy takimi ignorantami w dziedzinie wyznawanych zasad, że nie znamy nawet 5-ciu przykazań kościelnych; (o przykazaniach kościelnych, prawdach wiary i t. p. można poinformować się w pierwszym lepszym katechizmie) albo nasz katolicyzm jest tak płytki, tak powierzchowny, że nie żyjemy zupełnie życiem Kościoła, że np. rok kościelny jest dla nas nic nie mówiącą formułką — jest jakiś tam Adwent, jakiś Wielki Post — nietylko nie wyciągamy stąd żadnych konsekwencyj praktycznych, z pobłażliwością i z ironją patrzymy na ludzi, co chcą brać serjo nakazy i zakazy Kościoła. Nie możemy pojąć ducha Kościoła, nie staramy się nawet zrozumieć znaczenia kościelnych przepisów. Ale nawet członkowie katolickich organizacyj są na tyle niewyrobieni, że dopuszczają się publicznego złamania przykazań kościelnych, przynosząc przez to ujmę organizacjom i szkodząc sprawie, której służyć się zobowiązali. I to jest właśnie najbardziej przykry fakt w całej tej sprawie.

Nie chodzi tu bynajmniej o jakieś moralizowanie; chcieliśmy tylko zwrócić uwagę na drobny wprawdzie, lecz groźny objaw tego, że „na naszym jachcie" nie wszystko jest w porządku.

A teraz jeszcze jedna kwestja: na Czarnej Kawie miały miejsce występy artystów z Lutni. Aż nadto wiele mówi fakt, że piosenka Halmirskiej, tak wyuzdana, że miałaby tu do powiedzenia cenzura obyczajowa, odśpiewana została na zabawie akademickiej wobec miejscowych władz i elity społeczeństwa, i że została przyjęta hucznemi oklaskami i kwiatami.

h w

Akademicki kościół św. Anny w Wilnie

Gdy burze wojenne ucichły i nastały warunki, umożliwiające pracę pokojową, rozpoczął się w Wilnie intensywny ruch na polu wskrzeszania i badania dzieł sztuki. Ruch ten nie słabnie ani na chwilę, jednakże praca, wymagająca wiele czasu i pieniędzy, posuwa się naprzód powoli, nie ściągając na siebie uwagi szerszego ogółu. Przyzwyczajeni do narzekania na wileńską senność i nieporadność, do niezwracania uwagi na marudną dłubaninę rozmaitych przedsięwzięć budowlanych, dokonywującą się nieustannie w różnych punktach miasta, ulegamy wtedy dopiero uczuciu podziwu, gdy się nasunie sposobność zastanowienia się nad tem, co już w ciągu lat kilkunastu zostało w Wilnie dokonane. Pisał już o tem dość obszernie p. prof. dr. M. Morelowski w ostatnim zeszycie „Alma M. V." dając podsumowanie wyników pracy.

Jednocześnie z pracą konserwatorsko-restauratorską posuwa się w Wilnie na terenie historji sztuki naukowa praca badawcza. Koncentruje się ona przedewszystkiem w Sekcji Historji Sztuki Tow. Nauk. w Wilnie. Na czele tej sekcji stoi p. prof. dr. M. Morelowski.

Ostatnie przedwakacyjne posiedzenie tej sekcji było poświęcone akademickiemu kościołowi św. Anny po-bernardyńskiej. Już dawniej p. dr. M. Morelowski wystąpił z omówieniem stylu kościoła św. Anny, fałszywie dotąd „krzyżackim gotykiem" nazywanym. Na ten też temat wystąpił obecnie i ks. kpl. dr. Piotr Śledziewski, chlubnie znany ze swych wnikliwych badań zabytków wileńskich. Byliśmy właśnie świadkami interesującej dyskusji o stylu kościoła św. Anny w Wilnie.

Kościół św. Anny zbudowany został, jak to dowodnie ustalił ks. dr. Śledziewski, w końcu w. XVI (nie, jak sądzono, na początku), z inicjatywy króla Zygmunta-Augusta, który pragnął z niego uczynić mauzoleum dla swoich dwóch żon, Elżbiety i Barbary, oraz, gdyby umarł na Litwie, i dla siebie.

Zwłoki obu małżonek królewskich były pochowane prowizorycznie w katedrze, w krypcie pod dawną kaplicą królewską divi Casimiri. Niestety, do kościoła św. Anny nigdy nie były przeniesione. W obawie zaś najazdu moskiewskiego, prawdopodobnie przeniesiono je w połowie XVII w. do małej krypty w pobliżu prezbiterjum, gdzie, jak wiemy, były odkryte podczas obecnej restauracji bazyliki.

Co się zaś tyczy stylu, to kto widział kościół św. Anny, tego uderzyć musiała pewna niewspółmierność między fasadą kościoła, strzelistą, lekką, koronkową i płomienistą, a nieco sztywnemi, prostopadłemi ścianami bocznemi.

Dla lepszego zdania sobie sprawy z tego faktu, ks. dr. Śledziewski wpadł na pomysł zrekonstruowania osobno zasadniczej architektury fasady, osobno zaś, jej dekoracyj. Rysunki przemówiły. Na pierwszym z nich widzieliśmy fasadę kościoła doskonale harmonizującą ze ścianami bocznemi, o dwóch zgrabnych wieżyczkach, do których znakomite pendant stanowi prześliczna, wysmukła wieża, przy znajdującym się w pobliżu kościele Bernardynów, również z końca XVI w.



Kościół św. Anny

Całość miałaby być przykładem rodzimego, późnego gotyku o nalocie renesansowym, wykazującego cechy budownictwa krakowsko-wileńskiego, zygmuntowskiego w kamieniu i drewnie.

W ten sposób hipoteza p. prof. dr. Morelowskiego, który w architekturze kościoła św. Anny dopatrywał się wpływów flandryjskich, znalazłaby dopełnienie. Godząc się bowiem na ewentualne istnienie tych wpływów, ksiądz Śledziewski ogranicza je do samych tylko motywów dekoracyjnych, płomienistych i wiąże wogóle z powszechnością stylu płomienistego w Polsce (naprz. ołtarz marjacki w Krakowie).

Ciekawe, że linje głównego łuku i wspartego na nim oślego grzbietu — kroksztynu, przecinających brutalnie fasadowe okna w połowie ich wysokości, dalej po podobnym oślim grzbiecie, wspinająca się zuchwale między wieżami bocznemi misterna, jakby w powietrzu zawieszona, wieżyczka-iglica i analogiczne pełzaki-iglice, wieńczące szczyty wież bocznych — wszystko to razem, oderwane od tła fasady i przeniesione na papier, wygląda wcale nie jak fragment architektoniczny, ale raczej przypomina dekorację złotniczą — jakby monstrancję.

Podobna interpretacja prowadziłaby rzeczywiście do wniosku, że podobieństwo to wynika ze świadomego zamiaru architekta. Prawdopodobnie twórca kościoła św. Anny był nietylko budowniczym, lecz i złotnikiem (wielostronność taka nie jest w XVI w. rzadkością). Technikę więc jednej z uprawianych sztuk mógł samorzutnie przenieść na drugą, zdobnictwo złotnicze zastosować do architektonicznego.

W danym wypadku było to nietylko możliwe, lecz i racjonalne, mogło wyniknąć nietylko z pomysłu artysty, lecz także z zamysłu królewskiego fundatora. Skoro kościół w intencji króla był przeznaczony na królewskie mauzoleum, skoro miał zawrzeć szczątki osoby umiłowanej, to chyba najodpowiedniejszy do tego celu był właśnie kształt możliwie najwspanialej, najbogaciej ozdobnego relikwjarza, owego monstrantia reliquiarum.

Dziwnym zbiegiem okoliczności przed paru laty zaledwo odnaleziono w podziemiach katedry prowizoryczne groby królowej Elżbiety i Barbary. Szczątki ich nie ukończyły dotąd swej pośmiertnej wędrówki, nie znalazły jeszcze miejsca wiekuistego spoczynku. Umieszczono je tymczasem, wraz ze szczątkami króla Aleksandra znowu w dawnej kaplicy królewskiej, obecnie Wołłowiczowskiej, gdzie znów czekać muszą, aż okoliczności pozwolą im na pogrzeb, godności monarszej właściwy.

I oto właśnie teraz ks. Śledziewski odgaduje intencje króla-fundatora, leżące u podstawy istnienia najpiękniejszego w Wilnie kościoła.

Sama nasuwa się myśl, że genjusz historji ukrył narodowe relikwje — zwłoki królewskie — na czas klęsk narodowych, nasze zaś pokolenie, pierwsze po odzyskaniu niepodległości, wybrał na wykonawcę ostatniej woli ostatniego z Jagiellonów.

Dr. Janina Budkowska.

Przyp. Red. Kościół św. Anny jest obecnie kościołem akademickim. Nabożeństwa odbywają się (z wyjątkiem feryj) w niedziele i święta o godzinie 9-ej rano.

Wydawca i Redaktor Leokadja Małunowiczówna ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ Drukarnia Archidiecezjalna w Wilnie

Dnia 28 listopada 1933 roku na Walnem Zebraniu Bratniej Pomocy zostały złożone dwa wnioski tej treści:

I

Do Bratniej Pomocy nie należy przyjmować na członków Żydów i przechrztów *(Endecy)*

II

Nadzwyczajne Walne Zebranie Bratniej Pomocy powołuje komisję złożoną z 2-ch lekarzy i 4-ch katolików w celu badania aryjskości członków Br. Pom.
(Lewica akademicka)



BRATNIA POMOC
POLSK. MŁODZ. AKAD.

— Czołem! Gdzie idziesz Maurycy?

— Czołem! — Na komisję do Bratniaka. Chcę wykazać, że od 5-ciu pokoleń jestem aryjczykiem.

(W. Sz.)

Treść poprzednich numerów Pax'u

Pozostałe egzemplarze niektórych n-rów są jeszcze do nabycia w Administacji

(Uniwersytecka 9 — 9) Konto P. K. O. Nr. 144.229

